

SZTANDAR MŁODYCH
Warszawa, ul. Wspólna
A

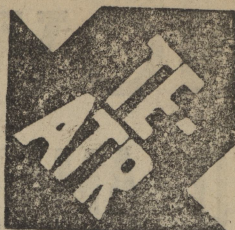
wydanie
6 4 1 7 -03-1971
Nr z dn.

268

„Na Boga! Muzo! Trochę
śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy
gminu!”

Kiedy na scenę wchodzi Adam Hanuszkiewicz i zacierając ręce gestem sopockiego konferansjera mówi: „Dobry wieczór państwu!” — publiczność wybucha śmiechem. I są szanse, że tak już zostanie do końca widowiska pt. „Beniowski” w warszawskim Teatrze Narodowym. Te szanse daje przede wszystkim cudowny dowcip Juliusza Słowackiego, który swój poemat przesycił był ironią humorem, niekiedy trochę sarkastycznym, kiedy indziej znowu autoironicznym. Te szanse daje także forma spektaklu: a więc wdzięk i dowcip wykonawców, a więc świeże i dowcipne pomysły sceniczne, a więc dystans do samego siebie, a przede wszystkim — brak celebry i na maszczenia, które są wrogami żywego teatru.

W autoironii zapragnął stanąć Adam Hanuszkiewicz (reżyser



rek”, „Zawisza Czarny”, „Maria Stuart”, listów Słowackiego oraz fragmenty „Czarnych kwiatów” Norwida. Są to na ogół utwory, przez które z trudem przebija się koneser. Utwory, gdzie splątaniu i rozwichrzeniu myśli towarzyszy namiętne splątanie formy, gdzie poezja często pozostaje w okowach mistycyzmu i wielosłowa. Owo wielosłowie przykrywa często perły poezji, które z nimi blisko sąsiadują. Teatr nie pomógł poecie. Dążenie do powagi sprawiło, że druga

„O, Melancholio, nimfo, skąd ty rodem?”

i autor scenariusza widowiska) w paranteli ze Słowackim. Więc powyciągał różne rekwizyty i formalizmy, które stają się, czy stały? — symbolami, jeśli można tak powiedzieć, hanuszkiewiczzyzny — i bawi się nimi. Górna to parantela — Słowacki. Ale aspiracja do wybaczenia, bo pomysły są rzeczywiście świeże, wesołe, nadają przedstawieniu tempo, wigor, młodzieńczość, wciągają widownię, która tekstem Słowackiego bawi się, wzrusza, którą ten tekst wciąga. Zważmy, że popularność poematu Słowackiego jest dużo mniejsza od takiego na przykład „Pana Tadeusza”, choć spierać by się można godzinami, czy to sprawiedliwie z poetyckiego punktu widzenia. Ale i tak przecież niepała to zasługa, że się ten cudowny poemat przed oczy i uszy publiczności wystawia i w tak atrakcyjnej, wciągającej, angażującej każdy zmysł formie — przedstawia. I publiczność ryczy ze śmiechu, kiedy trzeba, wzrusza się szczerze, kiedy trzeba bo taka jest siła i oblicze dobrego, żywego teatru. Czegoż tam nie ma?! Jak trzeba — to na scenę wchodzi Ryszard III w kostiumie z przedstawienia w Narodowym. Jest i drabina z „Kordiana”, jest czaszka z „Hamleta” a jest i Ofelia, jak żywa. A przy tym jest Słowacki — jest uroda jego wierszy, jego cudowny humor, wreszcie jego myśl — ironiczna, żywa jasna, racjonalna — pełna przytyków do pis-maków, które na prasowej premierze budziły szczególną wesołość. A jest i najczystsza li-ryka.

Dodajmy do tego znakomitą, nastrojową i funkcjonalną, a przy tym prostą i czytelną scenografię Mariana Kolondzieja, dodajmy pyszną muzykę Andrzeja Kurylewicza — a zobaczymy, że były szanse na przedstawienie naprawdę godne najwyższego entuzjazmu i obrony przed przeciwnikami, których nie zabraknie. Ale...

„O, melancholio, Nimfo,
Skąd ty rodem?
Czyś ty choroba jest
epidemiczna?”

Wydało mi się, że rozumiem drogę myślową Adama Hanuszkiewicza. Kiedy już zrobił pierwszą część „Beniowskiego”, przedstawienia skrzętego się humorem, żywego i mądrego, pomyślał sobie tak: — A nuż to jest niepoważne? A jam przecież poważnym narodowym artystą, nie wypada, żeby się publiczność na moich przedstawieniach tylko śmiała i śmiała. Jeszcze poważni koledzy powie-dzą, że dowcipas i roześmie-szacz, a nie artysta?

No i zakasał rękawy i spre-parował drugą część Beniowskiego. Do fragmentów poematu dołączył fragmenty takich utworów poety, jak „Poema Piasta Dantyszka”, „Ksiądz Ma-

część „Beniowskiego” jest wi-dowiskiem nudnym, pozbawio-nym logicznego i konkretnego przesłania myślowego, opartym na deklamacji i geście. Najle-piej z tego wszystkiego wycho-dzą owe listy, bo wychodzi z nich jakby Słowacki z części pierwszej. Ale gmatwanina my-słowa pozostałych fragmentów, poza tym rzecz jasna przejmująco pięknych, mądrych choć zawilich — wymagających przecież skupionego, wielokrot-nego wgrzyzania się, owa gmat-wanina teatralnie się nie tlu-maczyła. W tej sytuacji prze-blyskim nadziei wydawało się nawet zakończenie, choć jego prostota była może trochę prze-sadzona.

Jak „melancholia, nimfa” za-szkodziła przedstawieniu, prze-konać się można łatwo z poziomu gry aktorów w obu czę-sciach. Bardzo możliwe, że pa-tos monologu w drugiej części kosztował Daniela Olbrych-skiego znacznie więcej pracy, szczerego wysiłku i skupienia, aniżeli cała część pierwsza, ale jednak jakoś wolę go tam — młodzieńczego, rozhukanego, powiedziałbym — bardzo be-niowskiego. W każdym razie ta rola Olbrychski udowadnia z pewnością dwie rzeczy: po pierwsze, że umie mówić wiersz, i po drugie, że jest po prostu bardzo dobrym, wszech-stronnie sprawnym aktorem. A to „po prostu” to jest bardzo wiele.

I tak samo lepszy był w pierwszej części Gustaw Lutkie-wicz jako Borejsza, i tak samo Joanna Sobieska, bardzo ładna, zwiewna, wdzieczna, wzrusza-jąca. I tak wszyscy inni, któ-rych przepraszam, że nie wy-mieniam, na czele z Adamem Hanuszkiewiczem, który w pierwszej części mógł być prze-cież dowcipny. Pełen wzięcia bardzo ujmującego, ironicznie złośliwy, co przecież nigdy nie znaczyło — bezmyślny, a raczej wprost przeciwnie. A że póź-niejsze poematy Słowackiego — te, które tak hojnie wykorzy-stano w części drugiej — są przepełnione refleksją i skłębio-ną myślą, to do tego doszedł Słowacki po długich latach roz-myślań, pasowań się ze sobą i ludźmi, walk wewnętrznych. Miał prawo pisać niejasno, za-wile, skrywając swą mądrość w gęstwie słów.

Adam Hanuszkiewicz nie my-słał tak długo.

MACIEJ KARPIŃSKI

P.S. Przy okazji — Danielowi Olbrychskiemu najlepsze życzenia i serdeczne ucałowania z racji powiększenia się rodziny. Będzie może Słowacki a co najmniej Beniowski, M.K.